

# KU SŁOŃCU!

Nowela nagrodzona na konkursie „Gazety dla Kobiet” w Poznaniu.

Franek urodził się w ciemnej, wilgotnej suterynie. Ojca nie pamiętał wcale, bo go w kilka tygodni po przyjściu na świat Franka przytłukła maszyna w tartaku, gdzie był robotnikiem i zmarło mu się coś we dwa dni potem.

Matka, ogólnie Mikołajową zwana, po śmierci męża praniem zarabiała na utrzymanie siebie i małego synka.

Z początku, póki był jeszcze maleńki, niewiele tam miała z nim kłopotu. Rano, nakarmiwszy go, zawijała w róg pierzyny i pobożnie westchnawszy do świętych, których obrazy w dwóch rzędach królowały na ścianie, by Jej chłopaka strzegli, wychodziła do roboty. Jeśli prała w tej lub siasiedniej kamienicy, to wpadała co chwilę, by zajrzeć do dziecka, otulić je, nakarmić, lecz jeśli robota była dalej, biedny Franuś musiał nieraz cały dzień czekać na matkę.

Gorzej jednak było, gdy chłopiec dorósł roku i czepiając się ubogich sprzętów lazić począł po zimnej podłodze. Zostawić go samego Mikołajowej było jakoś trudno i markotno. A nuż zciagnie coś na siebie i krzywdę sobie jakową uczyni? Brać go ze sobą także nie mogła, bo ani robota by nie szła, ani by go upilnowała! Kłopotala się Mikołajowa dość długo, aż wreszcie starszkę — kumę jakąś znajomą wzięła na mieszkanie, która w zamian komornego miała pilnować Franka. Ano pilnowała!

Czasem Franuś dostał porządnego szturchańca, czasem nie, ale

jakoś żył i choć drobny i blady, cieszył się zdrowiem. Tylko mimo skończonych 2 lat nie chodził jeszcze. Suwał się tylko po ziemi podwijając pod siebie jedną nóżkę. Nie zwracano na to uwagi! Dziecko — jak dziecko!

Dopiero pewnej niedzieli, gdy Mikołajowa miała trochę czasu i zaczęła „uprzątać” koło dziecka, tulić, stawiać na nóżkach, aby już przyzwyczaić do chodzenia, spostrzegła, że chłopczyk niby bocięk podnosi ciągle jedną nóżkę w górę. Próbowwała ją pociągnąć, sprostować — ale na nic!

Franuś miał krótszą nogę!

Lamentowała Mikołajowa coś ze dwa tygodnie, płakała, żaliła się kumom i sąsiadkom. Ale cóż! Na doktora nie było, ni czasu, ni grosza.

Franuś został kaleką!

Krajało się z bólu serce matczyne, gdy patrzyła na drobną postać dziecka, które roztropne było jak rzadko, przemyślnie, a jednak kalekie! Potulne, ciche, suwało się po chłodnej izbie na swych zwiedłych nóżkach i nie płakało nigdy, a gdy matka czasem na nie krzyknęła — zwracało na nią swe duże oczy z niemym wyrzutem.

Kiedy już porządnie odrósł i mowić zaczął wyraźnie, interesowało go najwięcej małe okienko pod pułapem, przez które do tej nędzy tej suteryny wpadało nieco światła.

Wdrapywał się na łóżko, stamtąd na starą komodę i całemi godzinami patrzył przez okienko, na nogi przechodniów lub na przejeżdżające wozy. Któregoś dnia